

Tazbir, Janusz

Z życia nauki i życia Towarzystwa : Sytuacja nauk humanistycznych w świecie współczesnym : (Konferencja – Warszawa, 21 II 2003) : Zagrożenia i szanse humanistyki w XXI w.

Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego 66, 13-23

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZAGROŻENIA I SZANSE HUMANISTYKI W XXI W.

Zacznę od – moim zdaniem – najgroźniejszego z zagrożeń, o których chcę mówić. Doniosłe przemiany, zapoczątkowane dość nieopatrnie przez reformy Gorbaczowa oraz Jelcyna, doprowadziły nie tylko do rozpadu ZSRR, ale i do likwidacji „żelaznej kurtyny”, dzielącej nasz kontynent również i pod względem cywilizacyjnym. Rosjanie już nie muszą sięgać do polskich przekładów, skoro uzyskali swobodny dostęp do literatury zachodniej. Znajomość angielskiego jest z oczywistych względów bardziej opłacalna. Pociąga to za sobą znaczne zmniejszenie atrakcyjności polskiej kultury i nauki, tym samym stanowiąc jedno z głównych niebezpieczeństw dla zagranicznych kontaktów naszej humanistyki w obecnym stuleciu.

Możemy po prostu przestać być interesujący dla naszych wschodnich sąsiadów. Po cóż komu wspominać „polskie okno”, jeśli zostały otwarte szerokie wrota! Do miary symbolu urasta fakt, że wydawany ongiś miesięcznik „Polsza” rozchodził się w ZSRR w imponującym nakładzie blisko 300 tys. egzemplarzy i bywał sprzedawany „spod lady”. Tymczasem „Nowaja Polska”, która zaczęła się ukazywać po r. 1989 w Warszawie, jest daleka od nakładu dziesięciokrotnie mniejszego. Nie powinno to wszakże prowadzić do nastrojów fatalistycznej rezygnacji i bezpłodnego załamania rąk. Postawy takiej nie podziela kierownictwo PAN, o czym świadczy zarówno powołanie stałego przedstawiciela tejże Akademii w Moskwie (z perspektywą przekształcenia tej skromnej na razie placówki w stację), jak i zamiar możliwie rychłego utworzenia analogicznych stacji w Kijowie oraz Mińsku. Towarzyszyło temu utworzenie polsko-ukraińskiej uczelni w Lublinie. Warto w tym miejscu przypomnieć, że już w obecnej chwili na obu lubelskich uniwersytetach (KUL i Uniwersytet M. Curie-Skłodowskiej) studiuje kilkuset studentów z Ukrainy. Dzięki otwarciu dostępu do archiwów białoruskich, ukraińskich oraz rosyjskich Instytut Sztuki PAN uzyskał możliwość rozwinięcia ambitnie zakrojonych badań nad sztuką ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej (pisał o tym Jerzy Kowalczyk na łamach „Biuletynu Historii Sztuki”, 1999 nr 1–2).

Jak sądzę, właśnie polska humanistyka musi wypracować wspólny plan badań nad dziejami tej części kontynentu, w którym od wieków ulokowała

nas historia. W jego realizacji winni uczestniczyć przede wszystkim przedstawiciele „państw spadkowych” Commonwealthu, jak wolno określić polsko-litewską Rzeczypospolitą XVI–XVIII stulecia. A więc obok Polaków oraz Litwinów, także Białorusini i Ukraińcy, Estończycy i Łotysze. Konieczny jest również współdział Rosjan, Węgrów i Czechów. Na rzecz wypracowania takiego wspólnego planu badań od wielu lat pracuje ośrodek studiów nad Europą środkowo-wschodnią, działający na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim pod sprężystym kierownictwem Jerzego Kłoczowskiego. Sprawa wydaje się bardzo istotna, ponieważ syntezy dziejów Europy (oraz wielkich prądów cywilizacyjnych, jakie ją przeorały), wydawane w Paryżu, Rzymie czy Londynie, nadal kończą się w praktyce na linii Łaby. Jest to więc Europa kadłubowa, raczej „umowna”, w której zabrakło miejsca dla jej środkowo-wschodniej części. A nawet jeśli Polska, wschodnie Niemcy, Czechy czy Ukraina bywają niekiedy dostrzegane, to opisowi tych krajów towarzyszy cała masa błędów oraz opieranie się na przestarzałej literaturze przedmiotu. Zwłaszcza polonica non leguntur... W sposób pełen niedokładności pisze się też na Zachodzie i o Rosji. Ta jednak, niezależnie od tego w jakim by była politycznie kolorze: białym czy czerwonym, zawsze budziła tam większe od Polski zainteresowanie, i to od XVIII stulecia (słynny le mirage russe) poczynając. I z tym musimy się niestety pogodzić.

Bez fałszywej skromności można stwierdzić, iż polska humanistyka weszła z poważnym dorobkiem w nowe stulecie. **Nasza nauka i kultura wybiły się na suwerenność o wiele wcześniej aniżeli samo państwo polskie.** Przyznawano to już przed laty w emigracyjnym czasopiśmiennictwie. W r. 1962 Juliusz Mieroszewski pisał na łamach paryskiej „Kultury”: „Polska książka, wydana w Polsce Ludowej, w porównaniu z literaturą sowiecką w większości wypadków jest kulturą zachodnią [...] Teatr, muzyka, malarstwo, filozofia – nie wyłączając filozofii marksistowskiej w pewnych jej aspektach – w porównaniu z Sowietami reprezentują kulturę zachodnią”.

A mimo to jesteśmy krytycznie oceniani zwłaszcza w rankingach Komitetu Badań Naukowych. Za podstawę do tak surowej oceny posłużył z jednej strony indeks cytowań, z drugiej zaś słynna „lista filadelfijska”, służąca jak wiadomo temuż Komitetowi do przyznawania preferencyjnych punktów.

Istotnie, w owym indeksie brak częstszych powołań na prace polskich humanistów. Warto sobie jednak zadać pytanie, kto naprawdę interesuje się naszą przeszłością, literaturą czy kulturą w innych krajach Europy? Musimy wszakże uprawiać te badania, ponieważ stanowią one istotny zwornik polskiej świadomości etnicznej, dla której wejście do unii europejskiej

może stanowić pewne zagrożenie. Nie przeceniałbym wszakże jego rozmiarów. Doświadczenia Zachodniej Europy wskazują, że obecność w Unii Europejskiej nie tylko nie tłumi, nie wygasza konfliktów etnicznych, ale – wręcz przeciwnie – je roznieca. Już nie mówię o Baskach, o ich bardzo wybuchowym i to nieraz dosłownie, separatyzmie. Nie wspominam o Bretończykach, mówię przede wszystkim o Belgach: Flamandach i Wallonach, którzy dzieląc się zasobami Uniwersytetu w Louvain, książki zaopatrzone w sygnatury parzyste potrafili podarować Wallonom, a w sygnatury nieparzyste – Flamandom. W północnych Włoszech rozlegają się głosy, żeby stworzyć Padanię, oddzieloną od zacofanych gospodarczo południowych Włoch, jakie musi utrzymywać. Konflikty te słabym echem docierają już do Polski, mam tu na myśli postulaty niektórych kół uważających się za rdzennych Ślązaków, którzy twierdzą, że należy się im jeżeli nie oddzielne państwo, to rozległa autonomia jako temu narodowi, któremu nie dane było okrzepnąć i rozwinąć się.

Wracając do zasadniczego tematu – pragnę przypomnieć, iż chemię, biologię czy matematykę można rozwijać w różnych krajach, ale prowadzenie studiów nad naszymi dziejami stanowi obowiązek przede wszystkim polskich humanistów, od którego nic i nikt nie może nas uwolnić. Osławiona „lista filadelfijska” stanowi zaś, jeśli idzie o wykaz czasopism humanistycznych, oczywiście nieporozumienie. Z polskich wydawnictw znalazł się tam tylko rocznik „Lud”, skądinąd szacowny organ etnologów. Zabrakło natomiast takich czołowych organów polskiej humanistyki jak „Kwartalnik Historyczny”, „Pamiętnik Literacki”, „Biuletyn Historii Sztuki” czy „Kultura i Społeczeństwo” (przykłady niesłusznie pominiętych czasopism można by oczywiście mnożyć). A co począć z uczonymi, którzy co parę lat wydają liczącą się w humanistyce monografię, natomiast nie zwykli publikować swych studiów na łamach czasopism? Możemy oczywiście opracować własny indeks, „krakowski” czy „warszawski”, ale skąd pewność, iż będzie on honorowany przez decydentów, skoro nie powstał na Zachodzie.

Nie fetyszujemy przeto listy ułożonej w dalekiej Filadelfii i nie dajmy się zwodzić indeksowi cytowań. Co nie znaczy wcale, abyśmy mogli rozpocząć nowe stulecie z błogim poczuciem satysfakcji ze stanu znajomości osiągnięć naszej kultury i nauki w tak zwanym szerokim świecie. Wiele tu jest bowiem do zrobienia i bardzo dobrze się stało, iż dzięki inicjatywie Ministerstwa Spraw Zagranicznych działają przy naszych ambasadach Instytuty im. Adama Mickiewicza. One właśnie zajmują się propagandą polskich osiągnięć kulturalnych za granicą, podobną do tej jaką w dziedzinie kultury hiszpańskiej prowadzą instytuty Cervantesa, a niemieckiej – Goethego.

Jak na razie sprawa przedstawia się wręcz fatalnie, w czym część winy spoczywa i na naszej emigracji, tej dawniejszej i tej najświeższej. Nie zdobyła się ona na angielskie wydanie choćby jednotomowej encyklopedii o Polsce, gdy tymczasem nie tylko ukraińscy, ale i litewscy emigranci ogłosili także kompendia (i to paratomowe) dotyczące ich ojczyzn. Prężność kulturalno-wydawnicza Ukraińców może budzić jakże smutne refleksje, jeśli porównamy ją z inercją wielu polskich środowisk polonijnych. Wystarczy przypomnieć, iż w ostatnich latach historycy ukraińscy na emigracji przystąpili do systematycznej edycji podstawowych źródeł do dziejów swojej ojczyzny, i to od razu w dwóch językach: oryginału oraz po angielsku.

Minione lata III Rzeczypospolitej stoją pod znakiem zalewu naszego rynku wydawniczego przez liche na ogół przekłady zachodnioeuropejskich syntez historycznych, w których, jak już o tym wspominałem, Polska i jej problemy bywają pomijane milczeniem. Popytowi na tego rodzaju publikacje sprzyja w jakiejś mierze odwrót naszej humanistyki od ujęć syntetycznych. Tworzą je zazwyczaj zespoły autorskie, przy czym tak skomponowane syntezы cechuje mała zwartość. Autorów czy autora onieśmiela także obawa przed krytycznymi recenzjami ze strony rodaków. W nieporównanie wyrozumialszy sposób bywają traktowani obcy autorzy. Błędy są im na ogół wybaczone, co płynie z radości, że ktoś się nami raczył w ogóle zająć w tak ze wszech miar imponującym świecie. Słowem, daje tu o sobie w całej rozciągłości znać coś, co można nazwać „kompleksem Timbuktu”, radość przedstawicieli kraju, że wreszcie znalazł się badacz, dla którego w przeciwieństwie do autora króla Ubu zwrot „w Polsce” nie znaczy: „nigdzie”. Nagminne też bywa pomijanie w zgardliwym milczeniem polskich pozycji. Jakże wielu przesadnie entuzjastycznych recenzji doczekała się u nas historia Europy pióra Normana Daviesa, jak nieliczni tylko zwrócili uwagę na analogiczną syntezę, przygotowaną przez polskich historyków, pod redakcją niedawno zmarłego Antoniego Mączaka.

Sytuacja zmieniła się na naszą korzyść po r. 1956. Mimo wszystkich cenzuralnych ograniczeń humanistyka polska zaczęła wówczas budzić rosnące zainteresowanie i to zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Wyraziło się ono w publikacjach licznych studiów i artykułów naszych historyków, socjologów, literaturoznawców oraz badaczy dziejów sztuki w czasopiśmie francuskich, włoskich, angielskich, zachodniemieckich czy amerykańskich. Po roku 1956 ukazało się tych pozycji nieporównanie więcej niż w latach 1918–1939, nie mówiąc już o okresie 1944–1956. Artykułom towarzyszyły przekłady książek polskich humanistów i to nieraz równocześnie na parę języków. Polska humanistyka budziła zainteresowania

dzięki temu, że rozwijała się w kraju wielce burzliwego, ale mimo wszystko współistnienia katolicyzmu z marksizmem. Zachód Europy za naszym pośrednictwem dowiadywał się o rezultatach przenoszenia zrodzonych na Wschodzie form ustrojowych do kraju o tradycjach łacińsko-katolickich, a po r. 1980 budziliśmy przez jakiś czas zainteresowanie jako swoiste laboratorium przemian ustrojowych.

Czytywano nas również i dlatego, że po r. 1956 usiłowaliśmy (jak się okazało na próżno) pogodzić marksizm ze zdrowym rozsądkiem. Ale czy będą czytywać nadal, kiedy się pogrążymy w rejestracji narodowych nieszczęść, w opiewaniu mało komu poza Polską znanych bohaterów, kiedy zaczniemy niemalże ostentacyjnie lekceważyć dzieje społeczno-gospodarcze oraz towarzyszące im konflikty? Z natury rzeczy zainteresowania tego rodzaju nie mogą trwać wiecznie. Poważnym sygnałem ostrzegawczym niech się stanie fakt, iż w ostatnim dziesięcioleciu wyraźnie zmalała liczba polskich prac z zakresu humanistyki tłumaczonych na języki obce. Jeśli nad Tamizą, Sekwaną, Renem czy Tybrem, jak również w USA nadal wychodzą, świetne zresztą książki Leszka Kołakowskiego, Andrzeja Walickiego, Krzysztofa Pomiana lub Bronisława Baczki to nie tylko z uwagi na ich tematykę dotyczącą dziejów Rosji, problemów sowietologii czy krytyki marksizmu, ale i ze względu na miejsce stałego zatrudnienia oraz pobytu tychże autorów.

Musimy się nauczyć pisać w sposób zdolny zainteresować cudzoziemców oraz dla nich zrozumiały. Niestety po dziś dzień pokutuje pogląd, iż wystarczy dobry przekład wybitnej pracy humanistycznej, aby znalazła ona wdzięcznych czytelników. Nic bardziej mylnego! Warto tu przypomnieć niewypał translatorski, jakim się okazał angielski przekład *Historii literatury polskiej* pióra Juliana Krzyżanowskiego. Lwia część nakładu pozostała nierozsprzedana i była dostępna w Polsce (!) za parę złotych. Tymczasem właśnie nasze piśmiennictwo, zwłaszcza to z czasów zaborów, stanowi system patriotycznych szyfrów. Jest tak dalece niezrozumiałe dla kogoś, kto nie zna równocześnie dziejów politycznych Polski, że napisanie zarysu dla cudzoziemców wymaga innej „poetyki”. Takiej jaka jest stosowana m.in. przez Czesława Miłosza, który ma za sobą wieloletnie zajęcia z amerykańskimi studentami. Umiejętność nawiązywania kontaktu z obcym, niepolskim czytelnikiem, posiadał też w znacznym stopniu Norman Davies, co w znacznym stopniu wyjaśnia jego sukcesy na tym polu.

To, co napisałem poprzednio, mianowicie potrzeba zainteresowania zagranicą osiągnięciami naszej humanistyki, w jeszcze większym stopniu aniżeli przekłady dotyczy wspomnianego już programu badawczego, jaki musi ona wypracować dla obecnej i przyszłej generacji badaczy. Wymaga

to kilku lat intensywnej pracy i przygotowań; już w chwili obecnej sędzę wszakże, iż program taki winien uwzględniać przede wszystkim naszą stałą obecność w kulturze europejskiej. Zbyt długo występowaliśmy tam w charakterze pawia i papugi narodów, giermka historii czy – mówiąc mniej wytwornie – nieudacznika dziejów. Celnie to ujęła Alina Witkowska pisząc, iż epoka romantyzmu (i w ogóle cały wiek XIX) wymagają innego odczytania niż to „do którego od dawna przywykliśmy: patriotyczno-męczeńsko-mesjanistycznego”. Siła oddziaływania tej epoki maleje „a wśród młodzieży pojawiają się oznaki znudzenia się, zniecierpliwienia, poczucia obcości”. Ale przecież ta potrzeba nowego odczytania dotyczy także i innych epok naszych dziejów.

Obecnie idzie o pokazanie, jakie nowe elementy wnieśliśmy do kultury ogólnoludzkiej. Istotne są zwłaszcza te momenty naszej przeszłości, które mogą się przydać w budowie wspólnoty europejskiej. Zaliczyłbym do nich tradycje samorządu terytorialnego oraz zdolność współżycia i współistnienia wielu nacji w jednym organizmie państwowym.

Nie może to być jednak w żadnym stopniu naginanie prawdy historycznej do aktualnych potrzeb politycznych. Nie oddawajmy się złudzeniom, jakoby wraz z ponownym w tym stuleciu odzyskaniem niepodległości zaniknęła pokusa do manipulacji historią. Przeczy temu choćby ekran telewizyjny, na którym prawie nie pojawiają się spory o wielkie problemy naszych dziejów. Któż odważy się dziś krytykować stamtąd Piłsudskiego, czy oceniać negatywnie tę politykę wobec mniejszości etnicznych, jaką prowadziła II Rzeczpospolita?

W czasach Polski Ludowej kostium historyczny służył do toczenia jak najbardziej aktualnych dyskusji politycznych. Stąd niekończące się spory na temat Stanisława Augusta Poniatowskiego, będące w istocie wielką debatą na temat, jaka winna być aktualnie linia postępowania wobec czerwonego Kremla: walka o zachowanie autonomii gospodarczej i kulturowej (bo o politycznej trudno by marzyć), czy też dążenie do konfrontacji zbrojnej. Tymczasem już u schyłku XX stulecia, **historia zaczęła się przekształcać poniekąd w naukę pomocniczą, obchodo- czy rocznicomanii**. Dotyczy to zarówno wielkich postaci, jak wydarzeń czy wreszcie dziejów miast. I daremnie staraliśmy się przekonać ojców Warszawy, iż w r. 1596 nie było żadnego przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy. Medal czterechsetlecia stołeczności został ustanowiony i jest z całym spokojem rozdawany. Podobnych przykładów możnaby przytoczyć więcej.

Przy okazji obchodów dwusetnej rocznicy wybuchu Rewolucji Francuskiej oraz pięćsetlecia odkrycia Ameryki napisano wiele gorzkich słów na temat terroru stosowanego przez jakobinów czy eksterminacji ludności

indiańskiej, jaka przyniosła wcale nie pokojowe zetknięcie się Europy z „Indiami Zachodnimi”. Tymczasem u nas rocznice pociągają za sobą wydawanie, obok prac wartościowych, całej masy narodowej hagiografii. W niewielkim tylko stopniu służą one rozwojowi badań nad problemem czy człowiekiem. Kiedy milkną jubileuszowe fanfary, odkurzone na tę okazję pełne wydania czczonego właśnie klasyka powracają na biblioteczne półki, aby tam ponownie pokrywać się kurzem, aż do następnego jubileuszu. Co więcej, nasze obchody wydają się mało wzruszać inne kraje; w ogłoszonym przed dwunastoma laty artykule *Osiągnięcia, potrzeby i zagrożenia polskiej humanistyki* („Nauka Polska”, 1990, nr 1–2) wyrażałem w związku z tym wątpliwości, czy kolejne czczenie „narodowych rocznic i udział w nich polskiej humanistyki mogą być wytyczną programów naukowych, zdolnych zainteresować również i badaczy z innych krajów?”. Dziś wypadnie powtórzyć to pytanie z jeszcze większym naciskiem.

Wiąże się to zresztą ściśle z jakże krzywym zwierciadłem indeksu cytowań, o którym już wspominałem. Wśród symboli, jakie rządzą literaturą światową, daremnie by szukać polskich postaci. Pomiędzy Don Kichota, Mizantropa, Świętoszka czy Don Juana nie udało się nam wcisnąć ani Siłaczki, ani też doktora Judyma, którzy złożyli swe szczęście osobiste na ołtarzu narodowych potrzeb. Nowele Żeromskiego pozostały wszakże w lekturach szkolnych. Być może dlatego też wychowani na nich decydenci od spraw finansowych tak bardzo po macoszemu traktują kadrę oświatową i służbę zdrowia, przekonani, iż nadal będzie ona hołdować wzorcom ukutym przez pozytywizm. A więc ideowa praca za marne pieniądze, o które wprost nie godzi się dopominać.

Jeśli obchodzenie rocznic i jubileuszy cieszy się u nas coraz to większą popularnością, odpowiadają za to pośrednio ciż sami decydenci, skłonni przyznawać dotacje jedynie z okazji jakiejś okrągłej rocznicy. Choć wielu przedstawicieli świata nauki zasiada w ławach sejmowych i senackich jak również na fotelach ministerialnych, nie potrafili oni (nie chcieli? nie byli w stanie?) stworzyć solidarnego lobby, które by przypominało o potrzebach nauki. Kraży nawet złośliwe powiedzenie, że jeszcze nigdy w dziejach III Rzeczypospolitej nie zasiadało w rządzie tylu profesorów. I jeszcze nigdy nie wykazywał on tak małego zrozumienia dla ciężkiej finansowo sytuacji różnych dyscyplin z naukami humanistycznymi i społecznymi na czele.

Jest w tym jakaś część i naszej – uderzmy się my, humaniści w pierś – winy. Zbyt długo jedynie z rzadka i cichutkim głosem dopominaliśmy się o swoje prawa. Kiedy była po temu odpowiednia pora, nie podnieśliśmy alarmu z powodu oczywistego dla wszystkich faktu: nasze nauki humanistyczne i społeczne są już od dawna poniżej granicy niedoinwestowania.

Pozwalaliśmy, aby w sferach decydenckich petryfikował się pogład, iż potrzeby naszych środowisk badawczych są minimalne. Humanistom po dawnemu jakoby wystarczy papier i pióro, zastępowane obecnie maszyną do pisania czy długopisem. Tymczasem obecne stulecie niesie ze sobą olbrzymie wezwanie, wyrażające się w konieczności gruntownej modernizacji warsztatu naukowego, jak dotąd dość tradycyjnego. Włączenie się humanistyki do sieci internetowej, szerokie zastosowanie komputerów etc., wszystko to wymaga dużych nakładów pieniężnych.

Olbrzymie nadzieje wiąźaliśmy z działalnością fundacji, zapatrzeni na wzory Zachodu, gdzie wydatki wielkich firm na naukę są odpisywane z ich podatków. Jako historyk doby baroku chciałbym w tym miejscu przypomnieć, iż największa chyba w całej Europie biblioteka w Wolfenbüttel (RFN), która gromadzi książki pochodzące głównie z tej epoki, urządza liczne konferencje i wydaje cenne publikacje, jest niemal w całości finansowana przez zakłady Volkswagena.

Przypominałem o tym w r. 1990, pisząc na łamach „Nauki Polskiej”: „Chętnie widziałbym FSO w roli benefaktora, dajmy na to polskich badań historycznych, ale jesteśmy na razie w państwie, gdzie nikogo nie dziwi dopłacanie do fabryk, hut i kopalń, natomiast przynoszenia zysków oczekuje się od ...humanistyki”.

Poświęcając w referacie na temat przyszłości polskiej humanistyki tak wiele miejsca sprawom finansowym uczyniłem to w przekonaniu, iż bez należytego uwzględnienia jej potrzeb w budżecie państwa nie będzie ona w stanie utrzymać się na średnim poziomie europejskim, jak to dotychczas miało miejsce. W tych warunkach, jakie obecnie istnieją, trudno liczyć na szerszy dopływ do humanistyki ludzi naprawdę wybitnych. Lubimy powtarzać, że stwarza ona szansę wielkiej intelektualnej przygody. Nie jest to jednak perspektywa zdolna zachęcić młodzież naukową do zajmowania się historią polityczną czy dziejami kultury lub nauki, jeśli będzie równocześnie oznaczać zgodę na wręcz spartańskie warunki bytu. Trudno się więc dziwić, iż wiele wysokokwalifikowanych zespołów, zwłaszcza redakcyjnych i wydawniczych, stoi dziś przed groźbą tak zwanej luki generacyjnej. Nie przypadkowo Siłaczka Żeromskiego umiera bezpotomnie.

Jeśli zabraknie nam środków na krótko- i długoterminowe wyjazdy do zagranicznych bibliotek i archiwów oraz na sprowadzanie obcych książek i czasopism, po stosunkowo niedługim czasie będzie można poczynić znaczne oszczędności na uczestnictwie w międzynarodowych konferencjach. Przeszanie się tam zapraszać polskich uczonych, ponieważ ich referaty oparte na przestarzałej literaturze przedmiotu mało kogo zainteresują. Będzie to oczywiście kolejna oszczędność dla skarbu państwa... Nota bene,

ciężar kontaktów zagranicznych przenosi się niewątpliwie z wielkich kongresów i konferencji (z typu „spotkań monstre”) na małe robocze spotkania, gromadzące nie więcej aniżeli circa 30–40 uczestników.

Stan kontaktów zagranicznych polskiej humanistyki w nadchodzącym stuleciu, a przede wszystkim jej prestiż na forum międzynarodowym będzie zależał od wielu czynników, wśród których dobra wola, ambicja i talenty samych badaczy nie są wcale czymś najważniejszym. Na cóż się bowiem te wszystkie czynniki zdadzą, jeśli nadal będziemy się znajdować poniżej minimum doinwestowania, gdzieś na szarym końcu budżetu państwa. To prawda, że humanistyce nie grozi, tak jak to ma miejsce z fizyką i chemią, z medycyną, czy biologią „wypłukiwanie” przez ośrodki zagraniczne najzdolniejszej kadry badawczej. Gdzie bowiem poza Polską są potrzebni tak bardzo badacze jej dziejów, historycy naszej literatury czy sztuki! Emigracja wewnętrzna, a mianowicie przechwytywanie najzdolniejszych prawników lub socjologów przez ośrodki krajowe, mogące dawać im wyższe niż uniwersytety pensję stanowi natomiast poważne niebezpieczeństwo. Trudno i darmo: już w chwili obecnej szukają oni gorączkowo dodatkowych źródeł zarobku, co musi się w sposób szkodliwy odbić na rozwoju badań naukowych.

Chciałbym być złym w tej kwestii prorokiem. Obawiam się wszakże, iż jeśli w najbliższych dekadach nadchodzącego stulecia nie zrodzi się w sferach rządzących zrozumienie dla potrzeb nauk humanistycznych, to u schyłku XXI wieku staną się one istotnie naukowym kopciuszkiem reszty Europy. Ich najwybitniejsi nawet przedstawiciele przestaną po prostu dorównywać swoim niemieckim, francuskim czy angielskim kolegom. Europa, jeśli oczywiście nie wybuchnie III wojna światowa, znajdzie się na kolejnym wirażu cywilizacyjnym. Gdyby Polska i tym razem zrezygnowała z udziału w wyścigu po sukcesy naukowe, to nigdy już chyba nie dogoni zachodu kontynentu. Fatalizm dziejów sprawił, że za każdym razem, kiedy jego rozwój ulegał gwałtownemu przyspieszeniu, coś nam w owym doganianiu przeszkadzało. Tak było w XVII wieku, za sprawą najazdów nieprzyjacielskich, sytuacja powtórzyła się w XIX stuleciu, „dzięki” rozbiorom i zaborom, jak również w drugiej połowie kończącego się wieku, z winy narzuconej nam przez Kreml utopii. Musimy uczynić wszystko, aby wiek XXI nie zgotował nam podobnej klęski.

Prestiż i zagraniczne sukcesy naszej humanistyki będą niewątpliwie zależęć od powodzeń lub niepowodzeń państwa polskiego, od tempa, w jakim będziemy się posuwać po drodze stabilizacji politycznej i dobrobytu. Jeśli dostrzegamy u obcych badaczy nieznaną nam naszych dziejów, w tym i historii najnowszej, jak również nieznaną nam polskich osiągnięć ustrojowych i cywilizacyjnych, z tolerancją na czele, to z reguły jesteśmy skłonni przypisać

główną winę temu, że w przeciwieństwie na przykład do Węgrów, publikujemy swoje prace głównie w kraju i po polsku. Przez długi czas sam byłem wyznawcą podobnego poglądu. Wydarzenia związane z francuskimi obchodami czterechsetnej rocznicy wydania edyktu nantejskiego zachwiały wszakże we mnie tę arcy polską skłonność do samobiczowania.

W r. 1998 dowiedzieliśmy się z prasy francuskiej, iż ów edykt był pierwszym aktem tolerancyjnym w całej ówczesnej Europie. Opinię taką wygłaszali nie tylko dziennikarze, ale i poważni badacze z Jeanem Delumeau na czele. Zapomnieli oni o konfederacji warszawskiej, uchwalonej na ćwierć wieku przed edyktem z Nantes, mianowicie w r. 1573. Przyznawała ona całej szlachcie prawo wyboru dowolnej konfesji, a nie tylko, jak to ustanawiał edykt nantejski, jednego z dwóch wyznań. Stąd nazywano go w Polsce XVI stulecia francuską konfederacją, wyrażając żal, iż za wzorem Sarmatów musiano rozlać we Francji wiele krwi, aby wreszcie przyjść do używania „rozumu politycznego”.

Z hałaśliwych obchodów rocznicy edyktu nantejskiego, jako pierwszego aktu ustanawiającego tolerancję, można by wyciągnąć dwa wnioski. Pierwszy to ten, iż Rzeczpospolita nie leżała w XVI stuleciu w Europie. Pogląd nie zasługujący na podjęcie polemiki. Wniosek drugi: winni są polscy badacze, ponieważ w języku francuskim nie poinformowali tamtejszych historyków o chlubnym akcie konfederacji warszawskiej. W istocie pisano o nim nad Sekwaną dość często, i to od wieku XVI poczynając. Wystarczy przypomnieć, iż jezuita Joseph Lecler w klasycznej już dziś książce na temat dziejów tolerancji (pierwsze wydanie: Paryż 1955) poświęcił konfederacji warszawskiej aż pięć stron druku. Zaiste, winy historyków polskich w tym, iż o akcie tym zapomniano podczas francuskich obchodów z r. 1998 trudno się dopatrzeć...

I przykład drugi, jeszcze bardziej zdumiewający. Profesor historii na jednym z amerykańskich uniwersytetów, Anna Cienciała, ogłosiła przed paroma laty (w zbiorze *Polskie mity polityczne XIX i XX wieku*, 1994) arcyciekawy artykuł dotyczący informacji o Józefie Piłsudskim, przekazywanych przez anglosaskie encyklopedie i podręczniki. Z jej studium wynika, iż po dawnemu królują w nich negatywne i krzywdzące stereotypy oraz błędne informacje. Tak na przykład nasze zwycięstwo, odniesione w r. 1920, przypisuje się nie tylko talentom strategicznym francuskich generałów (z Weygandem na czele), którzy mieli opracować plan decydującej bitwy, ale i wydatnej pomocy militarnej ze strony Francji.

Józef Piłsudski występuje w anglosaskich encyklopediach jako prezydent, który w r. 1926 obwołał się dyktatorem. Polskie opory wobec linii Curzona, jako granicy pomiędzy nami a Rosją, są tłumaczone naszym nacjonalizmem

oraz uleganiem tendencjom imperialnym. Autorzy odpowiednich haseł biograficznych czy rozdziałów w podręcznikach nie zadali sobie trudu sięgnięcia do publikacji polskich historyków, wydawanych po angielsku w USA lub w Wielkiej Brytanii. Na czołowym miejscu Anna Cienciąła wymienia tu prace Piotra Wandycza, który już w r. 1957 wytykał swoim amerykańskim kolegom brak zainteresowania dla spraw środkowowschodniej Europy, a co więcej – mylne informacje na temat tej części kontynentu. Profesor Cienciąła ze smutkiem stwierdza, że od tego czasu niewiele się w istocie zmieniło.

Jak wiadomo, ludzie (a przecież historycy są też ludźmi!) dość niechętnie przyswajają sobie nowe poglądy. Obok lenistwa, pośpiechu i nie dbalstwa działa tu czynnik, który Anna Cienciąła skłonna jest upatrywać w kompleksach natury politycznej: są nimi mianowicie wyrzuty sumienia za oddanie sojusznika z okresu II wojny światowej pod sowiecką dominację, i to na całe półwiecze. Można było owe wyrzuty stłumić, pisze Cienciąła, „potępiając Polskę za jej rzekomy feudalizm, imperializm, faszyzm”. W ten sposób krąg się niejako zamyka, skoro naszą anarchią, uciskiem poddanych oraz okrucieństwem sarmackiej szlachty zachodnioeuropejscy zwolennicy oświecenia usprawiedliwiali ongiś rozbiory Rzeczypospolitej.

Nawiązując do słynnej broszury Pawlikowskiego *Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?* (z r. 1800) pragnę jednak stwierdzić, iż nasza historiografia powoli „wybija się na normalność”. Przestaje być li tylko tropieniem przyczyn, dla których Rzeczpospolita zniknęła na tak długo z mapy politycznej Europy i uzasadnianiem powodów, dla których powinna na nią powrócić. Coraz mniej obawiamy się tego, że krytyka narodowej przeszłości może być wykorzystana przeciwko dzisiejszej Polsce i Polakom. Coraz rzadziej wreszcie szukamy w tej przeszłości uzasadnienia naszych aktualnych kłopotów.

Chcę też wierzyć, iż zabierzemy się energicznie do walki o przestrzeganie etyki naukowej. Jak na razie bowiem mamy do czynienia z niepokojącą znieczulicą moralną, jaka otacza coraz częstsze niestety w humanistyce plagiaty czy prace magisterskie i doktorskie, pisane na zamówienie (i odpłatnie) dla ludzi spragnionych tytułów i stopni naukowych.

Na zakończenie pragnę wyrazić nadzieję, iż kontakty zagraniczne naszej humanistyki, przewidywane na wiek XXI, przyczynią się do tego, że w pracach obcych badaczy zaistnieje wreszcie obiektywny obraz naszej ojczyzny, jej dziejów i kultury. Czy tak się w istocie stanie okaże się dopiero za sto lat, a więc wówczas kiedy będziemy mogli już tylko z zaświatów czytać bilans XXI stulecia, sporządzony przez naszych praprawnuków. Mój referat może sprawić wrażenie, iż zagrożenia polskiej humanistyki będą w XXI stuleciu górować nad jej szansami. Obym się mylił!